

Marek Karwala

Jerzego Ficowskiego "Bajędy z augustowskich lasów"

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria 9,
198-205

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis

Studia Historiolitteraria IX (2009)

Marek Karwala

Jerzego Ficowskiego *Bajędy z augustowskich lasów*

Jerzy Ficowski znany był z rozlicznych zainteresowań, które znalazły odbicie na kartach jego książek. Utrwalił się zatem w pamięci czytelników jako badacz kultury i folkloru cygańskiego, odkrywca talentu romskiej poetki Papuszy, piewca pamięci po zamordowanym narodzie żydowskim, znawca twórczości literackiej i plastycznej Brunona Schulza, malarstwa Witolda Wojtkiewicza, tłumacz, autor tekstów piosenek i utworów przeznaczonych dla dzieci. Zostanie on zapamiętany jako poeta pogranicza: kultur, religii, sztuk, narodów...

*Bajędy z augustowskich lasów*¹ zrodziły się niejako przypadkiem, w wyniku spotkania z drugim człowiekiem, oryginalnym, niemal egzotycznym. Tym człowiekiem okazała się leciwa już, bo 80-letnia kobieta, „Babcia znad jeziora Serwy”, której opowiadania zostały zadedykowane. Na dobrą sprawę jest ona „współautorką” tych niedługich narracji, jako że fabuły zasłyszał Ficowski właśnie z jej ust. Twórca tak wspomina we wstępie ich genezę:

Skąd się wzięły te bajędy? Komu je zawdzięczam? W trudnych czasach, wkrótce po stanie wojennym zostałem wraz z żoną zaproszony na kawałek lata przez nieznanych mi wcześniej ludzi nad jezioro Serwy. Spędziliśmy tam sporo pięknych dni, otoczeni iście rodzinną serdecznością naszych gospodarzy, z którymi zaprzyjaźniliśmy się od pierwszego wejrzenia. Byli to ludzie od pokoleń zżyci z jeziorami i lasami tamtejszymi. Matka pani domu, Jadwiga Sękałowska, Babcia zwana, okazała się nosicielką dawnych tradycji augustowskiej ziemi, piewczynią jej śródleśnych zakątków wiejskich, istną skarbnicą ludowych śpiewek i niezwykłych opowieści. Oskubując porzeczeki w ogródku, zaczęła snuć przede mną swoje piękne bajędy, zachęcona moim olśnieniem, którego nie umiałem i nie chciałem zatajać.

Miała wówczas za sobą osiemdziesiąt niełatwych lat, przeżyła niejedną burzę, niejedną klęskę, i pozostała pełna dobroci i mądrości serca, pełna pogody i siły czerpanej z nieustępliwego borykania się z losem. Przechowała w sobie obfite zasoby pamięci, celnego żartu, lotnej wyobraźni, przejęte w schedzie po ojcach i ciułane samodzielnie przez lata (s. 9).

¹ J. Ficowski, *Bajędy z augustowskich lasów*, Sejny 1998 (dalej strony z cytowanego wydania podaję w nawiasie po tekście).

I dalej:

Nie zapisywałem jej słów, nie chciałem ich spłoszyć. Ale kiedy wyraziła zgodę na nagrywanie, przywiozłem magnetofon. Tym razem jednak jej bajędy jeły przybierać postać szczątkową, były przeważnie już tylko cieniem tych nieutrwalonych. Stało się tak nie tylko za sprawą krępującego swobodę magnetofonu, ale i w niebezpiecznej obawie, że ktoś tam podsłyszyci, jak „Babcia głupstwa plecie”. Korzystając z zapamiętanych częściowo gawęd, [...] a także z nagrań, scalając i uzupełniając urwane i postrzępione wątki – napisałem te opowieści na nowo. Starłem się nie zagubić ich autentyczności, ich pierwotnej urody, nie naruszyć osnowy bajęd z augustowskich lasów, aby mogły być sobą, pozostać prawdziwe. Bajędy – bajki zbratane z gawędą, gawędy pokumane z bajką (s. 10).

Przyjrzyjmy się nieco bliżej zawartości tych sześciu krótkich historii, bo właśnie tyle złożyło się na *Bajędy*. Całość otwiera *Wilija*, której bohaterem jest Jan od Kamienia. Zajmuje się on kłusownictwem, usankcjonowanym przez miejscową społeczność moralnie, jako że tą metodą chłop odbiera panu to, co mu się należy. Jan co prawda chętnie łowił ryby, ale:

Do klusek miewał inne mięsiwo, niejednego zająca przyniósł z lasu sąsiedzkiego, a zdarzał się i koziołek, o dziku już lepiej nie wspominając. Ryby na post zostawiał, a miał ich tyle, że mógł się napościć do syta z rodziną i drużyną (s. 14).

Bał się tylko Wszzechmogącego, a „Ten mu pozwalał na niejedną przecherkę i tylko głodować mu nie dawał” (s. 14). Jak więc widać, także niebo akceptowało ten stan rzeczy, tym bardziej że Jan przestrzegał skrupulatnie starych obyczajów. Na Wigilię zawsze zapraszał zdrożonego biedaka – jeden z nich, dobrze ugoszczony, obiecał, że wróci za rok i słowa dotrzymał. Tyle tylko, że nie wyglądał już jak nędzarz, lecz jak wielki pan. Tonem nieznoszącym sprzeciwu zaprosił Jana na Wigilię do siebie. „Markotno było Janowi w taki wieczór święty odchodzić od swoich” (s. 19).

Nie chcąc urazić tak dostojnego gościa, rychło wszedł do jego sań. Droga była długa, a Jan co jakiś czas zasypiał. Ocknąwszy się, dostrzegł, że zmieniono konie, a potem sanie zastąpił powóz, śnieg zniknął, a wokół rozpościerała się rajska kraina. Uczta była wspaniała, a po niej Jan, pozostawiony samemu sobie, wyszedł na zewnątrz, gdzie usłyszał niezwykle ptasi śpiew. Ptak był tylko jeden, ale Jan nie mógł go dostrzec; biegł za nim do kolejnych drzew, coraz dalej i dalej.

Aż usiadł ptak na klonie jesiennym, żółtym całym. Ledwo siadł, a tu zaraz wszystkie liście opadły i on sam na puste gałęzi został. Nareszcie mógł go Jan zobaczyć: szary był, marnieński i krzektający jak sroka, bez jednej nutki. Nawet się Jan nie zasmucił, bo strach go całego przejął, że zapuściwszy się w obcy świat, już drogi do domu nie znajdzie nijak. Dopóki go ptak prowadził czy zwodził, ani pomyślał o tym, a teraz? (s. 22).

W końcu jednak odnalazł właściwą drogę, lecz zastał inne domostwo i innych już ludzi. Chciał kupić u nich strawę, lecz gdy wyjął sakiewkę, został wyśmiany: „Człowieku! Będzie chyba już ze trzysta lat, jak ten pieniądz nie chodzi. Już od wieka

wieków innym pieniądzem się płaci” (s. 24). Na tę wieść Jan od Kamienia usiadł na przyzbie i „w proch się rozsypał”.

Na czym polegała Janowa wina, że tak surowo został ukarany? Odpowiedzi można dać przynajmniej kilka. Po pierwsze może nieroztropnie zaufał panu, który po wigilijnej wieczerzy pozostawił go swojemu losowi (nie wyprawił na drogę, jak to Jan uczynił poprzedniego roku w stosunku do niego). Jan zdradził zatem niepisana zasadę, że chłop nie powinien w żadnych okolicznościach ufać panu. Po drugie – opuścił swoich bliskich w ten najbardziej rodzinny dzień w roku, było mu co prawda „markotno”, ale posłuchał rozkazu (bo był to bardziej rozkaz niż zaproszenie). Po trzecie – choć cieszył się rodziną, dostatkiem i przychylnością Wszechmocnego, to jednak zapomniał o swoim zwykłym, codziennym szczęściu, gdy pojawiła się złudna nadzieja symbolizowana przez magiczny ptasi śpiew.

Ta bajęda jest rodzajem egzystencjalnej metafory, przypowieści o potrzebie „poprzestawania na małym”, bo wedle ludowej mądrości wyrażonej znanym przysłowiem, takim właśnie Pan Bóg sprzyja.

Opowieść *O wężu mlekoopiju i o niewiernej bocianicy* ma charakter antropomorficzny. Wieś nawiedza dziwny wąż, gustujący w krowim mleku i w ten sposób pozbawiający ubogą rodzinę tego życiodajnego napoju. Jeszcze dziwniejsze jest to, że krowa była z wężem (czytaj: Złym) „w zmowie”. Skoro miejscowy odczyniacz nie mógł uwolnić jej od uroku, postanowiono zwierzę zabić, co też uczyniono. Wąż jednak nie dał za wygraną, pozwolił się połknąć przykładowej bocianicy, która od tej pory zaczęła się zachowywać wyzywająco. Dlatego obcy bocian:

Leciał z wysoka i bocianicę miłosnym ptaków zwyczajem dosiadłszy, podeptał. A ona ani się broniła przed nim. Skąd taka sodoma i gomora u bocianów, co słyną z wierności od stworzenia świata? Czy wąż piekielnego jadu jej zadał i przymusił do grzechu? Jej bocian zdradzony [...] bocianicy już znać nie chciał. Sam latał i wracał do gniazda, dzieci nakarmił i znów leciał. [...] Hardy był dla niej, a ona stała i stała z dziobem spuszczoneym (s. 36).

Jesienią bociany odleciały, a ona – odtrącona – pozostała: „Ludzie jej wybaczyli, tylko bocian nie odpuścił. Przeżebrała po wsi całą zimę, a wiosną siadła na starym gnieździe i czekała, ale się nie doczekała” (s. 38).

W tej operującej alegorią historii ujawnia się niepisana zasada moralna wyznawana przez lud: „nie ma winy bez kary”. Świat nadprzyrodzony, wierzenia magiczne, gusła i czary funkcjonują jako w pełni usankcjonowane w świecie realnym. To także próba ludowego, ale zarazem podpartego elementami tradycji chrześcijańskiej, wytłumaczenia obecności zła i usprawiedliwienia uwikłanego weń człowieka.

Bajęda *Jak anioł na Wigrach do przeora chodził* nawiązuje do baśni opowiadających o zakopanym skarbie, ale kończy się inaczej niż większość z nich. O ile bowiem bohaterowie baśni po wielu perturbacjach docierali w końcu do ukrytego skarbu, o tyle tu jest inaczej.

Miejszem akcji jest doskonale znany turystom były klasztor kamedulski na Wigrach. Eremici żyli onegdaj w ascezie, ale potem – jak głosi podanie – sprzeniewierzyli się swojej regule i oddali uciechom doczesnym. W wyniku tego zostali przez ludność znienawidzeni, a przez biskupa wypędzeni. Przed odejściem mieli jednak w podziemiach zamurować gigantyczny skarb. Potem przez całe lata szukano tego skarbu – i ludność miejscowa, a nawet obce wojska. Dość zabawnie brzmią takie oto słowa:

Niemcy szli, saperkami kopali, bagnetami wiercili – i nic. Szli Sowietci, stukali, dłubali i jeno nabyli się takiego stracha, że aż swoje gwiazdy czerwone na czapkach po prawosławnemu krzyżem świętym przeżegnali nabożnie, jak się im ziemia zachwiewać zaczęła pod walonkami (s. 51).

Czyniło to także kilkoro członków rodu Babci-bajarki, ale tak się daleko zapuścili w ciemne lochy, że:

[...] już tylko prosili Boga, żeby wyostał ich z tej ciemności i dał nazad wrócić. Okazał im Pan Bóg miłosierdzie [...]. Więc jak wyszli na świat Boży, to każdy poprzysiągł, że już do tych kamendulskich skarbów nie wróci za żadne skarby świata. Amen (s. 52).

Ten zabawny finał zawiera dość czytelną mądrość, chciałoby się rzec, nie tylko ludową i jedynie z pozoru banalną: największym skarbem jest życie!

W opowieści pojawia się dość istotny szczegół. Bajarka sygnalizuje Ficowskiemu, że historię zaśluszała od własnej rodziny:

Jak tam było naprawdę, nikt już dziś nie zbada. Stare czasy i tyle po nich zostało, co opowiadali starzy. A ich też z dawna już nie ma. My to słyszeli od mojej babki, co sto piętnaście lateniek żyła na świecie, i od przebabki, też stoletniej prawie. Można w tę historię wierzyć, jak ja wierzę, można i nie, boć ona nie z Pisma Świętego, tylko ze świętej pamięci. [...] Tak i wszystko, co wiem, nie wycytane jest, a wysłuchane (s. 41–42).

W opowieści *O zaklętej pasiece i cudownym ulu* mieszają się pierwiastki fantastyczne – wiara w rzucanie uroków i wampiryzm – z napięciami, jakie rodzą się pomiędzy sacrum i profanum. Co charakterystyczne, nie ma konfliktu pomiędzy akcentami wynikającymi z kultury chrześcijańskiej, a tymi o proveniencji pogańskiej. Także i w tej historii została przywołana ludowa mądrość o „winie i karze”. Pszczelarz, chcąc za wszelką cenę powiększyć swoją pasiekę, popełnił świętokradztwo, po przystąpieniu do komunii św. nie spożył opłatka, lecz zabrał do domu i umieścił w jednym ze swoich uli. Wszystkie pszczoły z okolicy, z nieznanymi dla innych pszczelarzy powodów, zapragnęły nagle przyfrunąć do jego gospodarstwa. Gdy inni biedowali, on bogacił się coraz bardziej. Wyrzuty sumienia doprowadziły go jednak do samobójczej śmierci. Później jako upiór niszczył co noc swe dawne ule, oprócz jednego, który pozostawał nienaruszony. Tak działo się aż do wyjaśnienia tajemnicy...

Niezwykłe ważny w tym zestawie wydaje się utwór o nieco przydługim tytule: *O swoich i cudzych świętości poszanowaniu i o tym jak stary Żyd Rufko za chrzest dzieciątka zapłacił*. Nie w pełni realizuje on założenia tytułowej bajdy, jako że od początku do końca podporządkowany jest motywacji wyłącznie realistycznej. W tym opowiadaniu zostały podjęte problemy współegzystowania nad Czarną Hańczą polskich chłopów i Żydów, współegzystowania dwu religii, które przecież tak wiele łączy (wszak chrześcijaństwo wyłoniło się z judaizmu). Już początek tekstu zapowiada dalszy jego klimat:

Kiedy [staruszka niedowidząca] siedziała koło płota, zobaczyła księdza, jak szedł miedzą. Powitała go po bożemu: – Niech będzie pochwalony. Niech Pan Bóg da zdrowie – odpowiedział Żyd Chaskiel, bo to on był, nie ksiądz żaden, tylko się babce chałat z sutanną pomylił. Widziałam to i słyszałam, to i zaraz przepraszam Chaskiela, a on mi na to: – Oj, wielkie mecyje! Toż my wszyscy, każdy po swojemu, jednego Boga chwaliemy (s. 70).

Chciałoby się w tym miejscu mówić o ekumenizmie, ale słowo to wydaje się zbyt dostojne, hieratyczne, nieprzystające do małego świata prowincji i do prostej, ale jakże krystalicznej opowieści. Wystarczy zatem powiedzieć jedynie o szacunku i wzajemnym zrozumieniu.

Chaskiel, mający serdecznych przyjaciół wśród polskich sąsiadów, nie rozumie chłopca, który mijając krzyże, cmentarze oraz kościoły nie zdejmuje czapki i nie składa głowy. Mówi:

To ja, Żyd, przy waszym czy naszym cmentarzu zawsze powiem: – Niech im ziemia letka będzie, głowę skłonię. Czapki nie zdejmę, bo u nas żeby uczcić świętość jakąś trzeba głowę nakrytą mieć [...]. Bo jak tu wierzyć takiemu, co się swojemu Bogu nie kłania? (s. 71–72).

W tym samym tekście kreśli Ficowski za augustowską opowiadaczką dwa skrajne portrety duchownych katolickich. Zachwyca się postacią księdza Ekstatowicza:

Co to za ksiądz był – to i anioła nie trzeba! [...] żadnego biedaka nie ominął, ani grzesznikiem nie wzgardził. W Strzelcowiźnie był człowiek, co dwadzieścia lat do spowiedzi nie chodził, wstyd mu było, że taki z niego mąż bezślubny. Wdówkę miał, sam był kawaler, mieli dwoje dzieci bez sakramentu. Ni jeden ksiądz do niego nie zaszedł, kiedy parafię odwiedzał, każdy go omijał jak zapowietrzonego. Aż [...] ksiądz Ekstatowicz nastał. Jechał po kołędzie, konie zatrzymać kazał i wstąpił. [...] A ten człowiek [...] siedzi w izbie, gonty na stołku struga, brudno wokoło, strużyn pełno [...], a kobieta przy kuchni gotuje. Zerwał się człowiek zawstydzony [...]. A ksiądz powiada: – Nie bój się, nie wstydz się roboty, siadaj i mnie pozwól, że siadę. I tak gospodarza ośmielił, że mu opowiedział wszystko [...]. Mówi ksiądz: – Przyjdźcie, ja wam ślub dam za darmo (s. 78, 80–81).

Ale bywali też duchowni, którzy nie rozumieli swego powołania, grzeszyli pychą i chciwością; nawet w obliczu śmierci nie chcieli wypełniać swej posługi, gdy im za nią nie zapłacono (ludowe spojrzenie na swoich duchowych przewodników okazało się sprawiedliwe). Gdy zaniesiono umierające niemowlę na plebanię

z błaganiem o chrzest, ksiądz zażądał najpierw pięciu złotych. Przybysze ich nie mieli, zatem ksiądz nie przystępował do obrzędu. Dopiero, gdy pożyczono tę kwotę od Żyda Rufki, wypełnił swój obowiązek.

Jak dziecko wydobrzało już całkiem, poszli z nim do Rufki podziękować zaraz po nabożeństwie. A Rufko życzenia małemu złożył: – Niech mu się dobrze żyje po waszemu. Ale mu życzę po naszymu: sto dwadzieścia lat! Tak i nie skąpią Żydzi w życzeniach swoich – do naszych stu lat jeszcze dwadzieścia dają na dokładkę. Panie Boże zapłać (s. 86).

To opowiadanie szczególnie wyróżnia też sam Ficowski. Mówi o zasługach bajarki:

Dobitnie wyraziła swoje więzi sąsiedzkiego zbratania z Żydami, co – wobec żywotnej teorii o rzekomo powszechnym „ludowym antysemityzmie” – jest [...] cennym świadectwem z pierwszej ręki (s. 10).

Ostatnia historia *O pokutniku sędziwym i stuletnim kluczu* jest utrzymana w podobnym klimacie, co poprzednia. Została opowiedziana już po Holocauście (wtedy powstała) i stanowi nostalgiczne wspomnienie zamordowanego narodu. Mówi o przyjaźni prostych ludzi, reprezentujących dwie nacje:

Odwiedzali my się wzajem – opowiadała bajarka – i z potrzeby, i przyjemności. Po sąsiedzku i po kupiecku. [...] Dziś już ani oni do nas, ani my do nich nie zajdziemy, bo ich nie ma, nikogo. Wygubili ich co do nogi, dzieciom małym nie darowali. Boże, jak ja ich szkodowała, jak szkodowała! A w sercu mi kolec został, że nijak ich nie mogłam osłonić (s. 89).

Wzruszenie budzą wspomnienia wzajemnych wizyt:

Tośmy do naszych Żydków szli nocować. Witali nas chętnie, po znajomości, kolację podali, podjadło się smacznie, łóżko uścielą. [...] Klękne, pacierz mówię do Matki Boskiej, do Pana Jezusa i pacierz dzienny, ten prawdziwy, a oni nawet za ścianą ani się ruszą, ani co na głos powiedzą, ani szurgną. [...] wiedzą, że człek człekowi czasu modlitwy niczym zaprzętać nie powinien. A jak już się człowiek przeżegna, z kolan wstanie, [...] to zapukają, przyjdą do porozmawiania, ciekawe nowinki przyniosą, o nasze wsiowe rozpytają, macy bardzo dobrej dadzą pogryźć i za jaką godzinę wyjdą z dobranocą (s. 93).

Podobnie miło przebiegały rewizyty:

Jak naszym Żydom było po drodze, zatrzymali się nieraz u nas w Strzelcowiźnie i jak my u nich, tak oni u nas nocowali. Matka już miała dla nich garnki na gotowanie koszerne, żeby – Boże broń – nijaki tref się nie przydarzył, bo to dla nich gorzej niż u nas schab w Wielkim Poście (s. 94).

Jak gorzka pointa tych wzajemnych kontaktów, przyjaznych relacji brzmią słowa: „Przyszli Niemcy, a z nimi koniec świata. Szatan się rozpanoszył, poginęli wszyscy” (s. 102).

Jak już we wstępie sugerował Jerzy Ficowski, jego bajędy są adresem genologicznym, będącym wynikiem kontaminacji bajki (czytaj: baśni) i gawędy. Trzeba od razu dodać, że nie tej szlacheckiej, od Chodźki czy Rzewuskiego, lecz folklorystycznej, jak Sabałowe. Dwa ostatnie utwory wyłamują się jednak z tego kanonu, obowiązują w nich bowiem motywacja realistyczna. Wszystko jest tu na serio, a dominuje klimat tęsknoty za pogrzebanym światem koegzystencji narodów, kultur i religii. Joanna Papuzińska powiedziała o nich:

Przywołują do świadomości wspólnej tę szczególną kategorię „swoich obcych” – innych językiem, wiarą i obyczajem, ale przecież zadomowionych wśród nas niegdyś i stanowiących część naszej zaginionej tożsamości².

Wcześniejsze cztery opowieści zostały nasycone cudownością związaną z wierzeniami magicznymi, obecna w nich jest motywacja fantastyczna, a bohaterowie mogą bez przeszkód przekraczać granice świata realnego i przestrzeni poddanej działaniu sił nadnaturalnych. Z bajęd wyłania się ludowy światopogląd, wedle którego możliwa jest nieustanna ingerencja tego, co nadprzyrodzone, zło musi zostać ukarane, a sprawiedliwość zatryumfować. Choć nie kończą się one potocznie rozumianym *happy endem*, to przecież czytelnik potrafi zaakceptować ludową mądrość, sugerującą, że są rzeczy ważniejsze od tych z kręgu „tu i teraz”. Pisząc (układając jedynie?) bajędy Ficowski dołączył do tak zasłużonego grona, jak K. Wójcicki, R. Zmorski czy A.J. Gliński.

Bajędy z augustowskich lasów zostały wystylizowane na gwarę – pojawia się w nich cały szereg takowych określeń i zwrotów. Gawęda (jeden z czynników składowych bajędy) sięgała często po rozwiązania dowcipne, komiczne. Nie inaczej jest także i tutaj. Można przypomnieć chociażby opowieść o Janie od Kamienia, gdzie bohater „Ryby na post zostawiał, a miał ich tyle, że mógł się napościć do syta z rodziną i drużyną”.

W swej poezji Ficowski stosował chętnie rozwiązania lingwistyczne. Tu też łatwo da się zauważyć neologizmy. Takimi przecież są np. czasowniki odrzeczownikowe, odnoszące się do dźwięków wydawanych przez tajemniczego ptaka: „ani szczyglikuje, ani słowiczy”. Innym sposobem gry lingwistycznej jest łączenie kilku wyrazów w jedną, a tym samym nową, formację, np. „boguduchawinni”.

Bajędy zawierają akcenty dydaktyczne, a w tej funkcji występują m.in. zdania o ambicjach aforystycznych, np.:

„[...] czy to zawsze po czapce poznać, kto jaki jest?”

„Bywa, że i głupi poczciwy jest i ludziom nie wadzi.”

„Zło mocniejsze ma pokusy”.

Niekiedy analogiczną rolę spełniają przysłowia, np.:

„Taki klęka pod figurą, choć diabła ma za skórą”.

² J. Papuzińska, *Ze słonecznego drzewa*, „Nowe Książki” 2000, nr 2, s. 10.

Te klarowne artystycznie i myślowo, wolne od naiwności utwory budują klimat jakiegoś szczególnego ciepła i harmonii. Jerzy Ficowski mistrzowsko oddał atmosferę opowieści augustowskiej „Babci”, które snuła podczas zrywania porzeczek.

Jerzy Ficowski's *Bajędy z augustowskich lasów* (Tales of Augustów forests)

Abstract

In the 1980s, Jerzy Ficowski listened to some stories told by an elderly tale-teller, encountered accidentally on the Mazurian lake Serwy. He noted them down, trying to retain the atmosphere of the original. He thus created the collection of six stories, entitled “*Bajędy z augustowskich lasów*”.

The word “*bajędy*” is a blend of “*bajki*” (fairy tales) and “*gawędy*” (folk stories). However, the last two stories in the cycle do not fit the canon, since they are characterized by realistic motivation. Everything is serious, the dominating atmosphere is one of longing for the extinct world of coexistence of nations, cultures and religions. The first four stories are imbued with magical beliefs, fantastic motivation and folk worldview, according to which the evil must be punished, and the good prevails.

“*Bajędy...*” are styled so as to resemble a dialect, they contain comic elements, and sometimes linguistic play. They also contain sentences that might be counted among aphorisms, or quote popular proverbs, in a didactic function.